

„Zbawieni” przez USA

12 września 2016

Sudan Południowy miał być pokazem dobroczynnego wpływu Ameryki w Afryce. Okazał się – w najlepszym przypadku – fiaskiem amerykańskiej polityki. Może nie tak oczywistym i bez tak daleko sięgających konsekwencji, jak Afganistan, Irak czy Libia, ale całkowitym.

Sponsorowana przez USA rezolucja Rady Bezpieczeństwa ONZ, de facto traktująca Sudan Południowy jako państwo upadłe – pokazuje, że amerykański eksperyment w tym kraju dobiegł końca – albo, że wchodzi on w zupełnie inną fazę.

DZIEDZICTWO IMPERIUM I KONIEC WOJNY BEZ KOŃCA

Ten region Afryki nigdy nie zaznał spokoju. Dla wszystkich sąsiadów był obszarem peryferyjnym. Zamieszkały przez odrębną etnicznie, nilocką ludność, położony na pograniczu kilku stref, od wieków był obszarem ekspansji i brutalnej eksploatacji – czy to ze strony arabskiego Sudanu i arabskich miast wybrzeża Oceanu indyjskiego, Etiopii, dawnych państw terenów Międzyjeziora (obecnej Ugandy). Z punktu widzenia sąsiadów posiadał wartość głównie jako teren do łowów na niewolników, na których zawsze był popyt. To przez te obszary w XIX w. uciekali przed mahdystami Staś i Nel, to tu działał Emin Pasza (właśc. Isaak Eduard Schnitzer). To tu, w 1898 r. w Faszodzie (ob. Kodok) doszło do starcia między brytyjskim a francuskim imperium kolonialnym, wyznaczającego moment, od którego wiadomo było, że cała Afryka jest już podzielona i nie ma miejsca na dalszą ekspansję europejskich mocarstw, jeśli nie miałyby wchodzić sobie w drogę. W XX w. obszar dzisiejszego Sudanu Południowego, wbrew pierwotnym zamiarom Brytyjczyków, którzy chcieli dołączyć go do Ugandy – ostatecznie przyłączony został do Sudanu Anglo-Egipskiego i wraz nim ostatecznie uzyskał w 1956 r. niepodległość.

Podział brytyjskich Indii jest chyba najlepiej znanym przykładem konfliktów stworzonych przez Brytyjczyków, wycofujących się z roli kolonialnej metropolii. Sudan jest również jednym z nich. Sklejenie w całość południa i północy Sudanu od razu stało się zarzewiem konfliktu. Pierwsza sudańska wojna domowa toczona między siłami rządowymi a rebeliantami z południa, rozpoczęła się już na rok przed proklamowaniem przez Chartum niepodległości i trwała do 1972 r., w tym czasie pochłaniając pół miliona ofiar. Kończący ją układ nie wygasił jednak konfliktu, który odżył jedenaście lat później i trwał ponad lat dwadzieścia dwa, w czasie których zginęło dwa i pół miliona ludzi.

Zakończenie drugiej sudańskiej wojny domowej miało miejsce już w nowych warunkach. W tym czasie, na przełomie XX i XXI w. wiadomo było już, że Sudan Południowy posiada potężne, trzecie co do wielkości w Afryce Subsaharyjskiej (po Angoli i Nigerii) zasoby ropy naftowej. W rozgrywce pojawił się też zupełnie nowy uczestnik, do tej pory mało zainteresowany tym regionem – Stany Zjednoczone. Pierwszym sygnałem ich zaangażowania było pojawienie się we wrześniu 2001 r. wysłannika prezydenta USA, byłego senatora Johna Danfortha, którego zadaniem było zbadanie, w jaki sposób Ameryka by mogła “odegrać rolę katalityczną w procesie pokojowym”. Kończące wojnę domową porozumienie zawarte w Nairobi w 2005 r., wyznaczające plan działań prowadzących do referendum na terenach Sudanu Południowego i jego niepodległości pewnie nie doszłoby do skutku, gdyby nie zaangażowanie amerykańskie. Dla Amerykanów konflikt południowosudański był częścią prowadzonej przez nich wojny dobra ze złem. Sudan, którego prezydent Hassan al-Baszir zdradzał wyraźne sympatie z państwami Osi Zła, był wrogiem, zaś zamieszkały przez chrześcijan (przynajmniej nominalnych) Sudan Południowy – potrzebującym obrony przyjacielem. Dokładnie według tego samego czarno-białego scenariusza byli dobrzy, prześladowani Kosowianie i nękający ich źli Serbowie, by wymienić tylko jeden przykład.

Wymownym znakiem amerykańskiego sponsoringu Sudanu Południowego jest czarny kapelusz, w którym zawsze występuje prezydent tego kraju Salva Kiir . Otrzymał go od George'a W. Busha. Pod względem sympatii zmiana warty w Waszyngtonie nic nie zmieniła – administracja Baracka Obamy, za czasów której odbywało się referendum niepodległościowe w 2011 r., podobnie jak przed nią republikańska, widziała sprawę w identycznych kategoriach. Więcej nawet – dla Obamy Sudan Południowy miał być sztandarowym przykładem dobra, jakie jest w stanie uczynić zaangażowanie amerykańskie w Afryce.

SZYBKI KRES ZŁUDZEŃ

Niepodległość ogłoszono 9 lipca 2011 r. w atmosferze euforii. W mgnieniu oka wyniszczony wieloletnią wojną i zamieszkały przez ludność pozbawioną niemal wszystkiego kraj miał się stać państwem szczęśliwym, demokratycznym i zasobnym. Błogosławieństwo Ameryki i kalkulacja mówiąca, że przy ok. 8 mln ludności i wielkości zasobów ropy naftowej (wówczas znacznie droższej niż obecnie), Sudan Południowy będzie miał dochód narodowy na głowę mieszkańca wyższy niż niejedno państwo europejskie, pozwalały wierzyć, że tak się stanie. Już pierwsza rocznica niepodległości pokazała, jak naiwne były te rojenia.

Na Sudan Południowy spadła inwazja organizacji humanitarnych, jedna przez drugą pragnących podnieść poziom życia jego mieszkańców. Jedna przez drugą kopały przede wszystkim studnie. Brak dostępu do wody pitnej jest wielkim ograniczeniem rozwojowym. Nie sposób jednak oprzeć się myśli, że tak silna koncentracja na wierceniach w kraju, gdzie pod ziemią oprócz wody znajdują się także i inne zasoby, sugeruje, że te dobroczynne studnie mogły mieć także i „drugie dno”. Jednak także i działalność amerykańskich i europejskich organizacji pozarządowych nie zmieniła specjalnie sytuacji i Sudan Południowy, jak był jednym z najbiedniejszych krajów świata, tak nadal nim pozostał. Mniejszej lub większej skali walki etniczne wybuchały na różnych obszarach, więc konflikty

o zupełnie podstawowe zasoby na obszarach gdzie brakuje wszystkiego, broń jest za to ogólnie dostępna i znajduje się w rękach ludzi od dzieciństwa nawykłych do jej używania, są zupełnie nieuniknione.

Rządząca krajem elita wywodząca się z Armii/Ruchu Wyzwolenia Ludu Sudanu Południowego (Sudan People's Liberation Army/Movement – SPLA/M), której przywódca, Salva Kiir został prezydentem, bardzo szybko pokazała, że jej kompetencje do rządzenia krajem są – oględnie mówiąc – dość ograniczone. Nie trudno to wyjaśnić. Ktoś, kto przez całe dotychczasowe życie znał tylko świat brutalnej, krwawej wojny i opanował działanie w nim do perfekcji, niekoniecznie musi okazać się dobrym administratorem. Więcej nawet, jest mało prawdopodobne, żeby nim się okazał. W rezultacie cała historia Sudanu Południowego od dnia niepodległości zdaje się wskazywać, że rządzący nim partyzanci starają się za wszelką cenę wrócić do świata, który znają i w którym umieją się poruszać, jakby działali w myśl hasła, że wojna się jeszcze nie skończyła, jeszcze są wrogowie, żeby z nimi walczyć i dlatego jeszcze warto żyć. Tak więc rząd południowosudański zaraz po uzyskaniu niepodległości uwikłał się w konflikt graniczny z Sudanem o prowincję Abyei. Niedługo potem prezydent Kiir zablokował całkowicie eksport ropy naftowej w rezultacie konfliktu z Chartumem o koszty jej tranzytu. Czyniąc kalkulacje dotyczące przyszłego dobrobytu Sudanu Południowego zapomniano o jednym: jedyną drogą, którą południowosudańska ropa może być eksportowana, jest rurociąg do Portu Sudan. Północny odcinek rurociągu jest zaś pod kontrolą sudańską.

Rządząca Sudanem Południowym elita szybko natomiast nauczyła się jednego – że oprócz ucieczki od prawdziwych wyzwań, jakie stałyby na drodze do przekształcenia kraju w przynajmniej namiastkę obiecanego w dniu niepodległości raju na ziemi, dużo łatwiej jest się od nich powstrzymać, bo nawet w kraju bardzo biednym, dóbr dla niewielkiej grupy, która będzie nim rządzić i tak wystarczy. Korupcja zatem rozkwitła. Wkrótce jednak

miało się też okazać, że dóbr do podziału między wybranymi, a zwłaszcza stanowisk, wcale nie jest tak dużo, żeby było się czym dzielić.

NOWA ODSŁONA WOJNY

Logicznym dopełnieniem pierwszych lat rozwoju (chciałoby się napisać „rozwoju” w cudzysłowie) Sudanu Południowego był konflikt między dwiema kluczowymi osobami w państwie: prezydentem Kiirem i wiceprezydentem Riekiem Macharem. W grudniu 2013 r. prezydent oskarżył Machara o przygotowywanie zamachu stanu i usunął go ze stanowiska. Machar już wcześniej oskarżał Kiira, że jego rządy zmierzają ku dyktaturze i że ów dokonuje czystek swoich przeciwników w armii i policji. Ludziom prezydenta nie udało się jednak uwięzić Machara – zdołał zbiec i wraz ze swoimi zwolennikami wszczął opór. Rozpoczęła się południowosudańska wojna domowa. Po stronie rządowej w walki włączyła się także armia ugandyjska. Okrucieństwa i czystki etniczne znów przeszły wszelkie wyobrażenia. Ocenia się, że od 2013 r. zginąć mogło ćwierć miliona ludzi, być może więcej. O sielankowej przyszłości zapowiadanej w 2011 r. nie było już co mówić. Większość organizacji pomocowych wycofała także swoich ludzi – było zbyt niebezpiecznie, aby wiercić kolejne studnie.

Za obydwoma przywódcami stoją dwie największe grupy etniczne – reprezentowani przez prezydenta Dinka oraz reprezentowani przez jego rywala Nuerowie. Ci drudzy dowodzą, że pod rządami Salvy Kiira dokonała się „dinkizacja” państwa, a większość liczących się stanowisk obsadzili przedstawiciele tego ludu. Przyjęcie, że główną przyczyną wojny między Kiirem a Macharem jest konflikt etniczny, byłoby nadmiernym uproszczeniem. Niemniej jednak w państwie, które od początku swojego istnienia jest w gruncie rzeczy państwem upadłym, tworem z którym trudno się jego mieszkańcom identyfikować – brak identyfikacji państwowej łatwo zastępowany jest identyfikacją opartą o kryterium religijne lub – jak w przypadku Sudanu Południowego – etniczne. Każdy przecież wie, kto jest Dinka, a

kto Nuerem. O tym, że wojna domowa w Sudanie Południowym to wyłącznie konflikt etniczny świadczy jednak także fakt, że linie podziałów przebiegają czasem w poprzek podziałów etnicznych, że obejmuje on równie inne, poza Dinka i Nuerami, grupy, oraz że wiele lokalnych bojówek wcale nie czuje się podległa ani prezydentowi ani Riekowi Macharowi, a swoje zaangażowanie po jednej bądź drugiej stronie traktują jako swego rodzaju doraźne sojusze.

Przez pierwsze półtora roku wojny żadne wysiłki regionalnej organizacji IGAD (działającej także w składzie IGAD+ – czyli osiem państw regionu oraz Unia Afrykańska, ONZ i główni partnerzy Sudanu Południowego ze świata rozwiniętego: Chiny, Stany Zjednoczone, Unia Europejska, Wielka Brytania i Norwegia) nie doprowadziły do poprawy sytuacji. Dopiero w sierpniu 2015 r. zawarto pod groźbą obłożenia obu stron konfliktu sankcjami kompromisowe porozumienie, zakładające pewnego rodzaju powrót do status quo sprzed wojny. Działania zbrojne miały być zawieszone, a Riek Machar miał znów stać się wiceprezydentem. Głównym mediatorem w jego zawarciu był prezydent Ugandy Yoweri Museveni. Do jego bezstronności można mieć pewne wątpliwości, ponieważ sama Uganda brała udział w konflikcie (Museveni wszakże twierdzi, że wyłącznie w celu przywrócenia bezpieczeństwa), jednak, choć porozumienie wprowadzane było w życie z oporami i w ograniczonym zakresie, a ustalenia, które zrealizowano, były wielorrotnie łamane – jak dotąd jest pierwszym, które przyniosło cokolwiek, niemniej jednak ostateczny rezultat wskazuje, że cel Museveniego – sojusznika Kiira – został osiągnięty.

Na pozór wydaje się, że porozumienie było korzystne dla Machara, bo wrócił na zajmowane wcześniej stanowisko, choć w toku wojny siły rządowe zdobyły zdecydowaną przewagę, jednak i prezydent Kiir, który opierał się bardzo przed jego zawarciem, zyskał bardzo wiele, aby umocnić swoją pozycję. Przede wszystkim – zyskał czas, który zdołał wykorzystać. Pod koniec 2015 r. Kiir przeprowadził zmiany w podziale administracyjnym

kraju i poobsadzał na stanowiskach gubernatorów swoich stronników. Machar został zaprzysiężony jako wiceprezydent dopiero w kwietniu tego roku, ale w lipcu został znów usunięty ze stanowiska i zastąpiony przez Tabana Denga – dawnego współpracownika Machara, który najwyraźniej postanowił zmienić barwy. Po walkach w lipcu oddziały Machara opuściły stolicę, a on sam udał się na emigrację do Chartumu. Działając w warunkach stanu wojny domowej i pod reżimem usankcjonowanego przez wspólnotę międzynarodową prezydent Kiir odsunął też na czas nieokreślony groźbę wyborów, które powinny były odbyć się właśnie w 2016 r. W rezultacie zatem po roku od zawarcia rozejmu jego władza tylko się utrwaliła i może spokojnie planować ostateczne militarne pokonanie przeciwników.

STANY ZJEDNOCZONE WRACAJĄ DO GRY?

Przyjęta 13 sierpnia przez Radę Bezpieczeństwa ONZ i sponsorowana przez Stany Zjednoczone rezolucja pozwala na wysłanie do Sudanu Południowego 4 tys. żołnierzy ONZ. W kraju jest ich już 14 tys., nowy kontyngent miałby jednak odgrywać szczególną rolę – byłby rozlokowany w stolicy, a jego mandat pozwoliłby mu na podejmowanie bardziej zdecydowanych działań „w razie konieczności”. Nikt z członków RB ONZ nie głosował przeciw, od głosu wstrzymały się natomiast cztery państwa: Chiny, Rosja, Egipt i Wenezuela.

Rezolucja jest następstwem lipcowych walk, w czasie których dochodziło do atakowania placówek ONZ, a reakcja żołnierzy w niebieskich hełmach była praktycznie żadna, co nie jest zjawiskiem nowym – przy każdym niemal poważniejszym konflikcie, podczas którego rozlokowane były siły Narodów Zjednoczonych, od Bośni do Demokratycznej Republiki Kongo, dochodziło do podobnych incydentów. To, co w tej rezolucji szczególne, to fakt, że została przyjęta nad głową rządu południowosudańskiego, który – cokolwiek by można mu zarzucić, a zarzucić, jak wynika to i z powyższej analizy, można naprawdę wiele – nadal reprezentuje państwo członkowskie ONZ, bez którego zgody siły takie nie powinny być rozlokowywane,

jak również nie powinien być rozszerzany ich mandat. Zdaniem rządu w Juby, który odrzucił rezolucję, suwerenność Sudanu Południowego została w ten sposób zignorowana, podobnie jak i gwarancje wpisane w Kartę Narodów Zjednoczonych. Jest to jednak praktyka, która pozwoliła Stanom Zjednoczonym otworzyć sobie drzwi do Afganistanu i Libii (inwazja na Irak w 2003 r. nie miała sankcji ONZ, choć Stany Zjednoczone bardzo starały się ją uzyskać), a wcześniej do interwencji w Somalii. Innymi słowy, przyjmując rezolucję RB ONZ potraktowała Sudan Południowy jako państwo upadłe, niezdolne do decydowania o sobie.

Opracowanie rezolucji i jej przeforsowanie świadczy, że Waszyngton porzucił już całkowicie traktowanie Sudanu Południowego jako swojego „dobroczynnego eksperymentu” w Afryce, przynajmniej w tej postaci, w jakiej było to u początków jego istnienia w charakterze niepodległego państwa. Czarny kapelusz Kiira już od dawna był pustym rekwizytem, teraz zaś staje się błazeńską czapką. Do niedawna jeszcze mógł łądzić się, że nadal ma za sobą amerykańską protekcję, teraz może się okazać, że uważając tak, wykazał się dużą naiwnością. Pozostaje otwarte pytanie, czy będzie to początek „nowego eksperymentu”, podobnego w charakterze do eksperymentu somalijskiego, który w grudniu 1992 r. rozpoczął prezydent George H. W. Bush, pozostawiając go w spadku swojemu następcy – Billowi Clintonowi.

W piątek do Juby udała się delegacja RB ONZ, mająca przekonać rząd Południowego Sudanu do zaakceptowania rezolucji. Pod naciskiem RB ONZ, gdy zagroziła mu embargiem na dostawy broni, prezydent Salva Kiir zgodził się zaakceptować rezolucję i rozmieszczenie dodatkowych niebieskich hełmów wyposażonych w szerszy mandat, dający im prawo do aktywnych działań. W rezultacie zatem kwestia suwerenności kraju została oddalona. Co nie znaczy jednak, że znikła – wręcz przeciwnie. Raczej sam Sudan Południowy uznał, że suwerenność lepiej schować do kieszeni. Jak się jest państwem upadłym, lepiej robić dobrą

minę do złej gry.

Choć – przypomnijmy to raz jeszcze – rządzący Sudanem Południowym przez lata pracowali nad skutecznym doprowadzeniem kraju do upadku. Komentując sytuację w Sudanie Południowym rok po zawarciu rozejmu i pięć lat po ogłoszeniu niepodległości, szef Połączonej Komisji Monitoringowej i Ewaluacyjnej, były prezydent Botswany Festus Mogae był zdecydowanie rozczarowany rezultatami całego procesu. „Przywódcy Południowego Sudanu zapomnieli myśleć o dobrze swojego narodu” – podsumował.

Autorstwo: Grzegorz Waliński

Źródło: Strajk.eu